

Yan
Lianke

Dzień
w którym
umarło słońce

przełożyła Joanna Krenz



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

17.00 – 18.00

I znowu to samo, od czego by tu zacząć?

No dobrze, to w takim razie może zaczniemy od tego.

Na te dni przypadała akurat kanikuła. Szósty dzień szóstego miesiąca kalendarza księżycowego, czyli święto suszenia smoczycich szat. Ziemia pękała od spiekoty. Chrzęszczał jej pogruchotany szkielet, a włoski na jej skórze wszystkie uschły na proch. Liście opadły z drzew. Owoce spadły przed czasem. Gąsienice wisiały bezwładnie w powietrzu, stopniowo obracając się w pył.

Ulicą przejeżdżał samochód. Nagle – pyk! Pękła opona. Trudno, pojechał dalej, kołyszając się, przechylony w stronę koła, w którym nastąpiła awaria. Na wsi mało kto używa już w polu zwierząt. Większość ma traktory. Co bogatsi także samochody, którymi jeżdżą, gdy im się spieszy. Ale kiedy taki samochód się zepsuje albo przebijie mu się na polnej drodze opona, muszą uciec się do innych środków transportu. Rozpadającej się furgonetki albo śmierdzącego czerwonym lakierem traktora. Od czasu do czasu pojawiają się też woły czy konie ciągnące wóz. No i przede wszystkim ludzie noszący snopki na klepisko na własnych barkach. Cisną się wtedy na ścieżce, robi się korek, zaczynają się klócić.

Ostatnio kogoś zabito przy takiej okazji. Możliwe, że nawet kilka osób.

Tamtego wieczoru, szóstego dnia szóstego miesiąca, w święto suszenia smoczyc szat, wielu zmarło od upału. Z naszego sklepiku funeralnego Nowy Świat wykupiono wszystkie szaty żałobne. W mgnieniu oka zniknęły nawet stare towary, zalegające w szafach, w których o mało co nie załęgło się robactwo.

Wykupiono wieńce.

Wykupiono co do arkusza pozłacany papier z teksturą.

Były w naszym sklepie papierowe figurki dziewcząt i chłopców. Z papieru białego, żółtego, wzorzystego. Były złote kielichy i srebrne misy wykonane z bambusa. Złote i srebrne góry. Złote i srebrne konie. Funeralne banknoty piętrzyły się na podłodze sklepu jak stopy świeżo wypłaconej z banku gotówki. Biały smok przydepnął czarnowłosą głowę chłopca prowadzącego konia. Z kolei szafirowy smok został przyciśnięty przez jadeitową dziewczynę. Kilka dni wcześniej, wchodząc do naszego sklepiku zwanego Nowym Światem, poczułbyś się przytłoczony całym tym przepychem akcesoriów żałobnych. Ale teraz wyglądało to znacznie lepiej. W okolicach święta suszenia smoczyc szat interes niespodziewanie się ożywił. Towar zniknął w mgnieniu oka. Półki pustoszały. Jakby ktoś ludziom powiedział, że wszystko podrożeje, więc rzucili się do banków po pieniądze, żeby nakupić rzeczy na zapas. Banki opróżniono. Wypłacono nawet dawno nieużywane banknoty sprzed reformy. Wszystkie sklepy świeciły pustkami.

18.00 – 18.30

Zapadł zmierzch.

Zmierzch trzymany w uścisku dusznego gorąca. Nawet w miejscach, gdzie zwykle wiało na przestrzzał, teraz

powietrze stało nieruchomo. Wszystkie ściany i filary oblepione były popiołem. Świat sprawiał wrażenie, jakby za moment miał upiec się na śmierć. Skwierczały ludzkie serca.

Po pracowitym dniu na roli ludzie byli skrajnie wyczerpani. Wykończeni do granic. Jedni przysypiali podczas zbierania pszenicy z pola. Inni na klepisku podczas młócenia i przemiału. Tego roku pszenica obrodziła obficie. Ziarna w kłosach były wielkości ziaren soi. Tak że mąka niemal sama wysypywała się z kłosów przez szczeliny między ziarnami. Wylewała się od nadmiaru. Żółte kłosa opadały na ziemię. Płątały się pod nogami. Ludzie ślizgali się na ziarnach. Według prognozy pogody za trzy dni miały nadejść burze. Okres ulewnych deszczy. Mówiono, że jeśli ktoś nie zdoła natychmiast zebrać zboża z pola, wszystko zgnije.

Więc wszyscy rzucili się do żniw.

Żęli i młócili jak opętani.

Wszystkie sierpy we wsi wymachiwały w powietrzu. Z osełek od namiętnego ostrzenia omal nie dobywały się skry. Czy to na polach, czy na dzikich terenach, wszędzie przemykały ludzkie sylwetki. Wszędzie niosły się ludzkie głosy. Na klepiskach i na całym świecie, wszędzie sylwetki, wszędzie głosy. Głosy ścierające się z głosami. Koromysła wymieniające się ciosami przy bliskim spotkaniu. Rodziny bijące się o pierwszeństwo do młockarni. Mój trzeci wujek z piątym wujkiem kłócący się o miejsce przy żarnach.

Skulony przy drzwiach sklepu, czytałem *Całowanego Lenina w słonecznym strumieniu czasu* Yan Lianke. Rodzice ustawili przed wejściem bambusowe leżaki. Kiedy światło padało pod odpowiednim kątem, można było

odczytać wypisane na sklepowym szyldzie słowa „Nowy Świat”. Żółte znaki na czarnym tle. We wczesnowieczornym półmroku złoty kolor przypominał jednak bardziej wyblakły odcień lessowej ziemi. Krótco po kolacji tata ze szklanką wody w dłoni przysiadł na swoim leżaku przy drodze. Mama przykuśtykała, by podać mu wachlarz. Wtedy do taty podszedł nagle jakiś człowiek. Był wysokiego wzrostu. Plecy miał obnażone, koszulę podwiniętą aż pod obojczyki. Pachniało od niego potem i ściętą pszenicą, której resztki opadały mu pod stopy. Był czerwony na twarzy, krótko obcięty. We włosach plątała mu się słoma. Suche listki pszenicy powiewały na czubku głowy jak chorągiewki. Jego przyspieszony, chrapliwy oddech brzmiał, jakby ktoś wyrwał mu z gardła chropawe powrósło.

– Bracie Tianbao, zrób dla mojego ojca trzy wieńce i pięć zestawów papierowych ozdób.

Tata znieruchomiał.

– A co z twoim ojcem?

– Umarł. W południe położył się w pokoju i zasnął. Po dwóch dniach z rzędu pracy na polu kazałem mu się przespać. Ewidentnie spał, ale w pewnym momencie nagle zerwał się z łóżka. Chwycił za sierp. Jak nie zbierzemy pszenicy, to zgnije na polu, mamrotał, wszystko zgnije, jak nie zbierzemy w porę. I ruszył w stronę pola. Ignorował wszystkich po drodze. Nawet nie raczył odwrócić głowy w stronę pozdrawiających go znajomych. Całkowicie skupiony był na sobie. Ci, którzy go widzieli, mówili, że wyglądał, jakby lunatykował. Nic do niego nie docierało. Był pogrążony we śnie, z którego nie dało się go wybudzić. Mówił coś sam do siebie. Jakby znajdował się w zupełnie innym świecie i rozmawiał ze swoim

równoległym ja. Wreszcie dotarł na pole. Trzeba to jak najszybciej zebrać, stwierdził, i zaczął wymachiwać sierpem. Pochylony, wywijał nim jak obłąkany. Ale się zmęczyłem, wyrwało mu się w pewnym momencie. Wyprostował się, żeby odetchnąć. Strasznie chce mi się pić, westchnął, i ruszył do kanału u stóp Zachodniej Góry zaczerpnąć wody. Pijąc, osunął się we śnie do kanału i utonął.

Ten, który przyszedł powiedzieć, że ojciec utonął w kanale, to był jeden z naszych dalekich krewnych, nazywał się Xia i mieszkał we wschodniej części miasteczka. Potem powiedziano mi, że powinienem zwracać się do niego „wujku Xia”. Wujek Xia dodał jednak, że ostatecznie jego ojca spotkała pomyślność. Przez tyle lat nie widziano, by ktoś lunatykował. Jego przypadek był zaskakujący. Skoro umarł we śnie, znaczy, że nie cierpiał. To powiedziawszy, wujek Xia ruszył pospiesznie w swoją stronę. Twarz mu poszarzała jak pył. Na nogach miał białe szmaciane buty. Niedbale wsunięta stopa wystawała na zewnątrz, przydeptując tylną część cholewki.

Wujek Xia przyszedł i odszedł w pośpiechu, jak ktoś, kto wyszedł z domu i zorientował się, że nie wziął ze sobą klucza, więc ruszył z powrotem, by go poszukać. Ja zaś siedziałem przed sklepem, czytając książkę. Czytałem *Całowanego Lenina w słonecznym strumieniu czasu* Yan Lianke. To powieść o rewolucji. Rewolucja jest jak tornado, które nie ustaje przez cały rok. Rewolucjonisci przypominają szaleńców rzuconych przez wiatr na wszystkie strony. *Morza targane gniewnymi sztormami, lądy dręczone spazmami nawałnic. Żeglarze potrzebują sternika, wszelkie stworzenie potrzebuje słońca.* Zdania wystrzeliwały jak petardy. Grzmiały jak gromy w upalny letni dzień. Były gęste. Błotniste. Brudno-dźwięczne,

dźwięczno-brudne. Ogólnie chodziło o to, że naszym zachciało się kupić z Rosji zwłoki Lenina. Wierutna bzdura opisana przez niego jak prawdziwy fakt. Nie podobała mi się ta historia. Nie podobał mi się ton, jakim o tym opowiadał. A jednak coś mnie w tej książce pociągało. Właśnie w czasie, kiedy czytałem tę powieść, przyszedł i odszedł wujek Xia, a między przyjściem a odejściem powiedział to, co powiedział. Podniosłem głowę znad książki, żeby spojrzeć na twarz taty. Była jeszcze posępniejsza i bledsza niż twarz wujka Xia. Jeszcze bardziej przypominała surową betonową ścianę. Twarz wujka była twarzą człowieka, który zgubił klucz. Twarz taty była twarzą człowieka, który przypadkiem znalazł cały pęk kluczy, przydatnych i całkiem bezużytecznych. Nie wie, czy powinien je wyrzucić z powrotem, czy postać i poczekać, aż w pośpiechu wróci po nie ten, kto je zgubił. Waha się. Szamocze z myślami. Tata wstał z leżaka. Ze sklepu dobiegł głos mamy. Pytała, co się stało.

– Znowu ktoś umarł. – Tata odwrócił wzrok od oddalającej się sylwetki wujka Xia. – Staruszek Xia ze wschodniej części miasteczka. Utopił się w kanale, lunatykując.

Pytanie i odpowiedź. Jak powiew wiatru poruszający liście. Tata wstał i ruszył ospale w kierunku sklepu. Szedł powoli, dzięki czemu dał mi trochę czasu, żebym mógł opowiedzieć, jak wyglądał sklep od środka. Mieścił się on w dwukondygnacyjnym budynku z czerwonej cegły, jakich wiele przy północnych ulicach miasteczka. Na górze znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, na dole część handlowa. W części handlowej zaś dwa pomieszczenia frontowe służyły za sklep, w którym przyjmowano klientów. Całe zawałone były wieńcami, wycinankami krów i koni, złotymi i srebrnymi górami